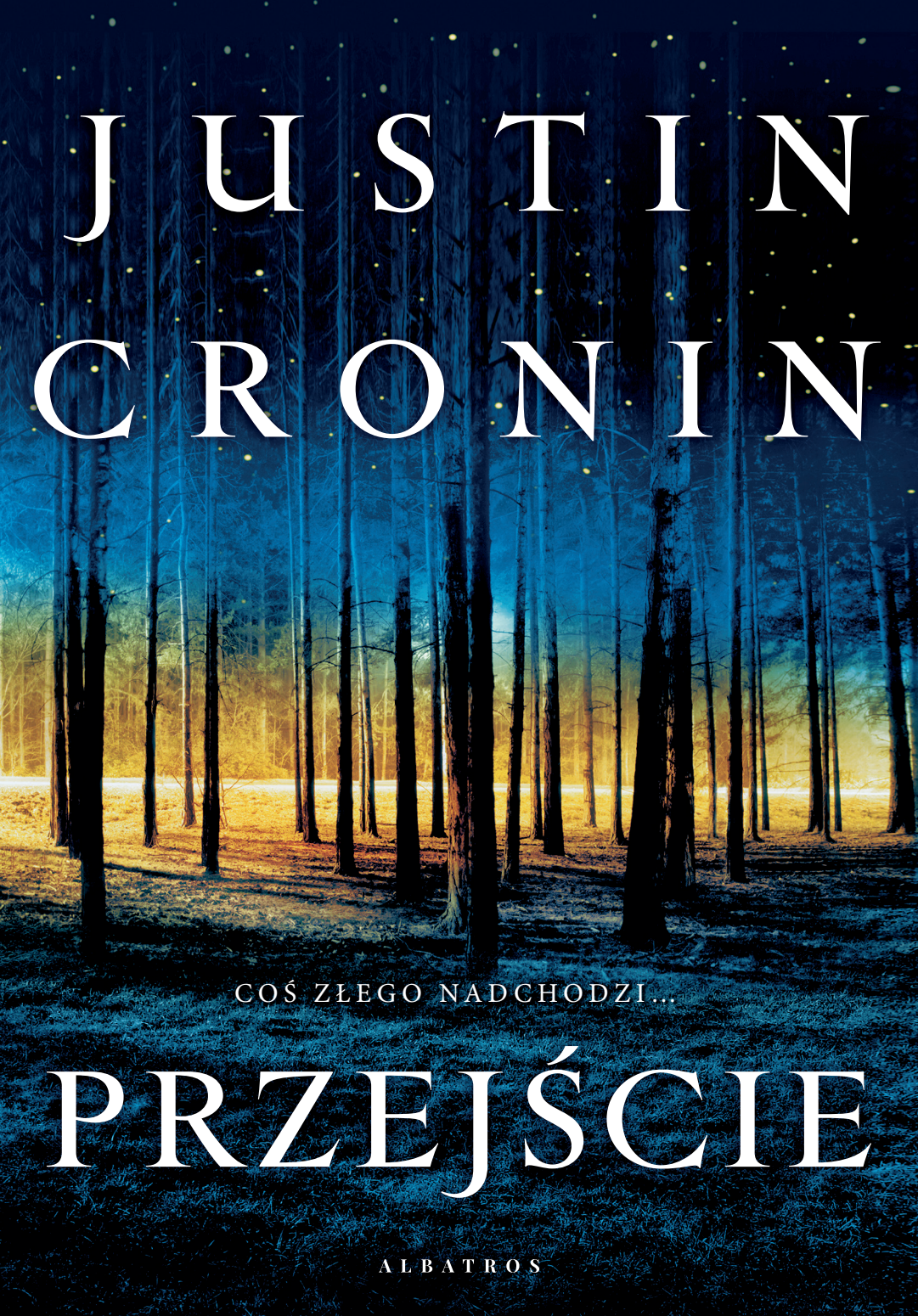




JUSTIN CRONIN

COŚ ZŁEGO NADCHODZI...

PRZEJŚCIE

ALBATROS

Zanim stała się Dziewczyną Znikąd – Tą, Która Przychodzi, Pierwszą, Ostatnią i Jedyną, żyjącą od tysięcy lat, była małym dzieckiem z Iowa. Nazywała się Amy. Amy Harper Bellafonte.

Kiedy się urodziła, jej matka Jeanette miała dziewiętnaście lat. Jeanette nazwała córeczkę Amy po swojej matce, która zmarła, gdy Jeanette była mała. Drugie imię Amy otrzymała na cześć Harper Lee – autorki *Zabić drozda*, ulubionej książki Jeanette. Prawdę mówiąc, to jedyna książka, którą przeczytała do końca w liceum. Mogła nazwać dziecko Scout, od dziewczynki, która była jej bohaterką, bo chciała, aby córeczka stała się taka jak ona. Jeanette nigdy się to nie udało. Scout to jednak imię dobre dla chłopca, a nie chciała, by córka musiała przez całe życie tłumaczyć, dlaczego je nosi.

Pewnego dnia ojciec Amy wszedł do restauracji, w której Jeanette pracowała od szesnastego roku życia jako kelnerka – do jadłodajni nazywanej przez klientów Pudełkiem, bo wyglądała jak ogromne chromowane pudło na buty stojące przy wiejskiej drodze. Za restauracją rozciągały się pola kukurydzy i fasoli. W promieniu wielu kilometrów nie było niczego oprócz samoobsługowej myjni samochodowej, z rodzaju tych, do których trzeba wrzucić kilka monet, a maszyna wykona całą robotę. Bill Reynolds, bo tak się nazywał, sprzedawał kombajny, żniwiarki i podobne maszyny. Umiał zagadać do dziewczyn. Kiedy Jeanette nalewała kawę, powiedział jej, że jest bardzo ładna. Później często to powtarzał. Mówił, że uwielbia jej czarne jak węgiel włosy, orzechowe oczy i delikatne nadgarstki. Brzmiało to tak, jakby w to wierzył, inaczej

niż chłopcy w szkole, recytujący wyuczone słowa, które rzekomo pragnęła usłyszeć. Bill Reynolds miał duży samochód, nowego pontiaca z deską rozdzielczą, która lśniła jak pojazd kosmiczny, i skózanymi fotelami w kolorze masła. Sądziła, że mogłaby pokochać tego faceta szczerze i głęboko, lecz on zabawił w mieście tylko kilka dni i ruszył dalej. Kiedy powiedziała ojcu, co się stało, chciał go odnaleźć, zmusić, aby spełnił swój obowiązek. Jeanette nie wspomniała mu, że Bill Reynolds ma żonę. Jego rodzina mieszkała w Lincoln, w Nebrasce, szmat drogi stąd. Pokazał jej nawet zdjęcia swoich synów, które nosił w portfelu – Bobby’ego i Billy’ego – w strojach baseballowych. Nie zdradziła, kim był mężczyzna, który jej to zrobił, chociaż ojciec pytał wiele razy. Nie powiedziała mu nawet, jak się nazywał.

Prawdę mówiąc, mało ją to obchodziło. Nie przejmowała się, że jest w ciąży, która do samego końca przebiegała bez problemów. Nie poruszył jej nawet poród – był bolesny, lecz krótki – ani to, że ma dziecko, maleńką Amy. Aby zakomunikować córce, że jej przebaczył, ojciec przerobił dawną sypialnię jej brata na pokój dla dziecka. Przyniósł nawet ze strychu starą kołyskę, w której Jeanette spała dawno temu. W ostatnich miesiącach przed porodem poszedł z nią do Walmartu, żeby kupić rzeczy dla niemowlęcia – śpioszki, małą plastikową wanienkę i ruchomą zabawkę do powieszenia nad kołyską, bo w jakiejś książce przeczytał, że niemowlęta potrzebują takich rzeczy. Rzeczy, na które będą mogły patrzeć i które spowodują, że ich mały mózg zacznie właściwie funkcjonować. Jeanette od początku myślała o dziecku jako o „niej”, bo pragnęła mieć dziewczynkę, choć wiedziała, że takich rzeczy nie należy nikomu mówić, nawet sobie. Kiedy poszła na badanie USG do szpitala w Cedar Falls i spytała kobietę, panią w bluzce w kwiaty, przesuającą po jej brzuchu małe plastikowe urządzenie, czy potrafi rozpoznać płeć dziecka, ta spojrzała na monitor i odrzekła: „Kochanie, twoje maleństwo jest nieśmiałe. Czasem można odgadnąć płeć, lecz często jest to niemożliwe. W tym przypadku właśnie tak jest”. Jeanette nie poznała płci dziecka, lecz uznała, że tak powinno być. Gdy razem z ojcem opróżnili pokój brata i znieśli na dół jego stare proporzyczki i plakaty – zdjęcia José Canseca, zespołu Killer Picnic i Bud Girls – i zobaczyli wypłowiałe, zniszczone ściany, pomalowali je farbą w puszcze z napisem *Marzenie* na kolor, który był jednocześnie różowy i błękitny. Dobry niezależnie od płci dziecka. Tata przykleił pod sufitem taśmę z kaczkami

pluskającymi się w kałuży i odnowił stary bujany fotel z drewna klonowego, który kupił na jakiejś wyprzedaży, aby Jeanette mogła na nim siedzieć i trzymać niemowlę, kiedy wróci do domu.

Dziecko urodziło się latem. Jeanette nazwała dziewczynkę Amy Harper Bellafonte. Pomyślała, że nie ma sensu dawać jej nazwiska Reynolds, bo pewnie nigdy więcej tego faceta nie zobaczy. Kiedy Amy przyszła na świat, Jeanette przestała tego pragnąć. Poza tym trudno o ładniejsze nazwisko niż Bellafonte, które znaczy „piękna fontanna”. Bo Amy była piękna. Jeanette karmiła ją, kołysała i zmieniała pieluszki, a kiedy dziewczynka budziła się z płaczem w środku nocy, ponieważ się zsiusiała, chciała jeść lub wystraszyła się ciemności, Jeanette człapała korytarzem do jej pokoju. Nieważne, która była godzina lub jak bardzo była zmęczona po pracy w Pudełku. Brała ją na ręce i mówiła, że jest przy niej, że nigdy jej nie opuści. „Przybiegnę, gdy zaczniesz płakać, taką mamy umowę, ty i ja, na wieki, moja maleńka Amy Harper Bellafonte”. Trzymała ją i kołysała, aż nadszedł świt, za oknem zaczęły ukazywać się blade kształty, a do jej uszu doleciał śpiew ptaków siedzących na gałęziach drzew rosnących wokół domu.

■ ■ ■

Kiedy Amy miała trzy lata, Jeanette została sama. Jej ojciec zmarł. Powiedzieli, że przyczyną zgonu był atak serca lub udar. Nie sprawdzali takich rzeczy. Cokolwiek to było, zabrało go wczesnym zimowym rankiem, gdy szedł do samochodu, aby pojechać do pracy w silosie. Zdążył postawić kubek z kawą na błotniku, a później przewrócił się i umarł, nie rozlewając ani kropli. Jeanette nadal pracowała w Pudełku, lecz teraz nie starczało jej pieniędzy, a brat, który służył gdzieś w marynarce, nie odpowiadał na listy. Braciszek zawsze powtarzał: „Bóg stworzył Iowa, żeby ludzie mogli stąd wyjechać i nigdy więcej nie wrócić”. Zastanawiała się, co zrobić.

Pewnego dnia Bill Reynolds znów wstąpił do restauracji na obiad. Wydał jej się jakiś inny, lecz zmiana nie była korzystna. W Billu Reynoldsie, którego zapamiętała – a musiała przyznać, że czasami o nim myślała, najczęściej o takich drobiazgach, jak jasne włosy, które opadały mu na czoło, gdy mówił, lub o tym, jak dmuchał na kawę, zanim upił pierwszy łyk – było coś przyjemnego, jakieś wewnętrzne ciepło, do którego człowiek pragnął się zbliżyć. Przypominało jej to małe pla-

stikowe pałeczki błyszczące po włożeniu do szklanki z płynem. Teraz facet był ten sam, lecz dawny blask znikł. Reynolds postarzał się i zeszczuplał. Zauważyła, że się nie ogolił ani nie uczesał. Przetłuszczone włosy sterczały na wszystkie strony. Nie miał na sobie odprasowanej koszulki polo, jak kiedyś, lecz zwykłą roboczą bluzę, jaką nosił jej ojciec. Była wygnieciona i miała plamy pod pachami. Wyglądał tak, jakby przespał noc na dworze lub w samochodzie. W drzwiach rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie, więc poszła za nim do boksu z tyłu sali.

– Co tu robisz?

– Rzuciłem ją – oznajmił. Kiedy na nią patrzył, poczuła zapach piwa, potu i brudnego ubrania. – Zrobiłem to, Jeanette. Zostawiłem żonę. Jestem wolny.

– Przyjechałeś z tak daleka, żeby mi to powiedzieć?

– Myślałem o tobie. – Odchrząknął. – Dużo myślałem... o nas.

– O nas? Nie ma żadnych „nas”. Myślisz, że możesz zjawić się ot, tak sobie, i mówić, że o nas myślałeś?

Wyprostował się.

– Właśnie to robię. Teraz.

– Nie widzisz, że pracuję? Nie mogę z tobą rozmawiać. Musisz coś zamówić.

– W porządku – mruknął, patrząc jej w oczy i nie zaglądając do menu. – Poproszę cheeseburgera. Cheeseburgera i colę.

Notując zamówienie, Jeanette zauważyła, że słowa zaczynają się zamazywać. Płakała. Czuła się tak, jakby nie spała od miesiąca, od roku. Była tak wyczerpana, że trzymała się tylko siłą woli. Chciała coś zrobić ze swoim życiem – ściąć włosy, skończyć szkołę, otworzyć mały sklepik, przenieść się do prawdziwego miasta, takiego jak Chicago lub Des Moines, wynająć mieszkanie, mieć przyjaciół. Często wyobrażała sobie, że siedzi w restauracji, a właściwie w przytulnej kawiarence. Jest jesień, na dworze zimno. Siedzi sama przy małym stoliku przy oknie i czyta książkę. Na stoliku stoi kubek z gorącą herbatą. Podnosi głowę, wygląda przez okno i obserwuje ludzi na ulicy. Pędzą gdzieś w grubych płaszczach i czapkach. Widzi też własną twarz odbitą w szybie. Gdy stała nad Reynoldsem, wydawało jej się, że te marzenia należą do zupełnie innej osoby. Amy często była przeziębiona i skarżyła się na bóle brzucha, bo całe dnie spędzała w marnym przedszkolu, podczas gdy ona pracowała

w Pudełku. Ojciec umarł tak nagle, że Jeanette miała wrażenie, iż zniknął w jakiejś zapadni, a Bill Reynolds siedział przy stoliku, jakby na chwilę odszedł, choć nie widziała go od czterech lat.

– Dlaczego mi to robisz?

Patrzył na nią długo, dotykając jej dłoni.

– Spotkajmy się później. Proszę.

Skończyło się na tym, że zamieszkał z nią i Amy. Nie wiedziała, czy go zaprosiła, czy po prostu tak się stało. Tak czy owak, natychmiast tego pożałowała. Kim on właściwie był, ten Bill Reynolds? Zostawił w Nebrasce żonę i chłopców w strojach baseballowych, Bobby'ego i Billy'ego. Pontiac znikł, facet nie miał żadnej pracy. Tłumaczył jej, że wszystkiemu winna jest zła sytuacja gospodarcza. Ludzie przestali kupować te cholerne maszyny. Mówił jej, że ma plan, lecz jedyny plan, który poznała, polegał na tym, że on siedział w domu i nie opiekował się Amy, nawet nie zmywał naczyń po śniadaniu, a ona całymi dniami harowała w Pudełku. Po trzech miesiącach uderzył ją pierwszy raz. Był pijany. Później zaczął płakać. Ciągłe powtarzał, że bardzo tego żałuje. Klęczał przed nią, szlochając, jakby to ona coś mu zrobiła. Musi go zrozumieć, mówił. Musi zrozumieć, że jest mu trudno, że ostatnie zmiany były dla niego ciężkie. Że czegoś takiego nie wytrzymałby żaden człowiek. Kocha ją i jest mu przykro. To się więcej nie powtórzy. Nigdy. Przysięgł, ale nie jej czy Amy. W końcu sama zaczęła powtarzać, że jest jej przykro.

Później stłukł ją z powodu forsy. Nadeszła zima, a ona nie miała wystarczająco dużo pieniędzy na koncie, by zapłacić inkasentowi za olej opałowy. Wtedy znów ją uderzył.

– Niech cię szlag, kobieto! Nie widzisz, w jakiej jestem sytuacji?

Leżała na podłodze w kuchni, trzymając się za głowę. Uderzenie było tak silne, że zważyło ją z nóg. To zabawne, lecz dopiero wtedy zobaczyła, jaka ta podłoga jest brudna, usmarowana i poplamiona, z grudkami kurzu i lichu wie czego pod szafkami, gdzie zwykle się zagląda. Patrzyła na brudną podłogę, myśląc, że pomieszało jej się w głowie. Bill cię uderzył, Jeanette, coś ci się stało w głowę, dlatego się martwisz, że jest brudno. Ze światem, który ją otaczał, stało się coś zabawnego. Amy oglądała telewizję na górze, lecz Jeanette miała wrażenie, że dźwięki rozlegają się w jej głowie. Słyszała Barneya, fioletowego dinozaura, śpiewającego coś o myciu zębów. Z oddali doleciał warkot odjeżdża-

jącej cysterny z olejem. Silnik zazgrzytał, gdy skręciła z podjazdu na wiejską drogę.

– To nie twój dom – powiedziała Jeanette.

– Racja – odrzekł Bill, wyjął butelkę old crow z szafki nad zlewem i nalał whisky do słoika po dżemie, choć była dopiero dziesiąta rano. Usiadł przy stole, lecz nie założył nogi na nogę, jak to zwykle robił. – Olej opałowy też nie jest mój.

Jeanette przekręciła się na bok. Próbowwała wstać, lecz nie mogła. Patrzyła przez minutę, jak Billy pije.

– Wynoś się!

Roześmiał się, pokręcił głową i upił kolejny łyk.

– To śmieszne – prychnął. – Każesz mi się wynosić, leżąc na podłodze.

– Wiem, co powiedziałam. Wynocha!

Do pokoju weszła Amy. Trzymała w rękach pluszowego króliczka, z którym nigdy się nie rozstawała. Miała na sobie śpioszki. Dobre śpioszki, które Jeanette kupiła jej w sklepie sieci OshKosh B’Gosh, z truskawkami wyszytymi na karczku. Jeden z pasków się rozpiął i zwisał na wysokości talii. Amy musiała go odpiąć, pewnie chciała iść do ubikacji.

– Dlaczego leżysz na podłodze, mamó?

– Nic się nie stało, kochanie. – Jeanette podniosła się, aby jej to pokazać. W lewym uchu trochę jej szumiało, jak w kreskówce, a w głowie wirowało. Zauważyła kroplę krwi na ręce. Nie wiedziała, skąd się wzięła. Podniosła Amy, próbując się uśmiechnąć. – Mama się przewróciła. Chcesz iść do ubikacji, kochanie? Usiąść na nocniku?

– Spójrz na siebie – warknął Bill. – Spójrzysz wreszcie na siebie?! – Pokręcił głową i upił kolejny łyk whisky. – Głupia cipo, pewnie mała nawet nie jest moja.

– Skaleczyłaś się, mamusiu. – Amy wskazała rączką. – Skaleczyłaś się w nos.

Z powodu słów, które usłyszała, lub widoku krwi, dziewczynka zaczęła płakać.

– Widzisz, co zrobiłaś? – rzucił Bill, a po chwili zwrócił się do Amy: – Chodź do mnie. To nic wielkiego. Czasami ludzie się kłócą. Tak to już jest.

– Powiedziałam: wynoś się!

– Co beze mnie zrobisz? Nie potrafisz nawet napełnić zbiornika na olej.

– Myślisz, że nie potrafię? Na Boga, zapewniam cię, że nie musisz mi tego tłumaczyć!

Amy zaczęła zawodzić. Jeanette wzięła ją na ręce i poczuła ciepło na brzuchu. Dziewczynka się zsikała.

– Na litość boską! Ucisz tego bachora!

Przytuliła Amy do piersi.

– Masz rację. Nie jest twoja. Nie jest i nigdy nie będzie. Zabieraj się stąd, bo wezwę szeryfa. Przysięgam.

– Nie mów tak do mnie, Jean. Nie żartuję.

– Właśnie to zrobiłam. Przed chwilą powiedziałam.

Wstał, wyszedł, trzaskając drzwiami i zaczął zbierać swoje rzeczy. Wrzucił je do kartonowych pudeł, w których przyniósł je przed kilkoma miesiącami. Dlaczego nie zastanowiło jej to, że nawet nie miał walizki? Siedziała w kuchni, trzymając Amy na kolanach, obserwując zegar na kuchence i odliczając minuty do czasu, aż Bill wróci do kuchni, by znów ją uderzyć.

Usłyszała skrzypienie otwieranych drzwi i ciężkie kroki na werandzie. Zaczął wynosić pudła. Zimne powietrze wypełniło dom. Wreszcie wszedł do kuchni w butach oblepionych śniegiem, zostawiając ślady na podłodze.

– Dobra, chcesz, żebym sobie poszedł? Zaraz zobaczysz. – Sięgnął po butelkę old crow. – To twoja ostatnia szansa.

Jeanette nie odpowiedziała, nawet na niego nie spojrzała.

– Tak?! Dobrze. Mogę wypić jednego na drogę?

Zamachnęła się i wytrąciła mu słoik, uderzając otwartą dłoń, jak rakieta do ping-ponga. Zorientowała się, co chce zrobić, ułamek sekundy wcześniej, zdając sobie sprawę, że nie jest to najlepszy pomysł. Za późno. Słoik uderzył głucho o ścianę i upadł na podłogę, nie tłukąc się. Jeanette zamknęła oczy i przytuliła Amy. Wiedziała, co się stanie. Przez chwilę odgłos wirującego słoika był jedynym dźwiękiem w pokoju. Czowała, że w Billu narasta gniew, jak fala gorąca.

– Właśnie miałaś próbkę tego, jak będzie wyglądało twoje życie, Jeanette. Zapamiętaj moje słowa.

Usłyszała oddalające się kroki. Bill odszedł.

■ ■ ■

Zapłaciła inkasentowi tyle, ile mogła, i nastawiła termostat na dziesięć stopni Celsjusza, żeby oleju starczyło na dłużej.

– Pomyśl, że wyjechałyśmy na kemping – powiedziała, zakładając Amy rękawiczki i nasuwając czapeczkę na głowę. – Teraz nie będzie nam tak zimno, prawda? To jak przygoda.

Spały razem pod stertą starych kołder. W pokoju było tak zimno, że widziały parę swoich oddechów. Jeanette wzięła dodatkową pracę na noc – sprzątanie w liceum. Jej córeczką opiekowała się sąsiadka, lecz gdy ta zachorowała i poszła do szpitala, Jeanette musiała zostawić małą bez opieki. Wyjaśniła Amy, co ma robić. Leż w łóżku, nie otwieraj drzwi, po prostu zamknij oczy, a będę w domu, zanim się zorientujesz. Kiedy dziewczynka zasypiała, Jeanette wykradała się niepostrzeżenie, a następnie szła energicznie po zaśnieżonym podejździe do miejsca, w którym zaparkowała samochód. Zostawiała go daleko od domu, żeby dziecko nie słyszało, jak odjeżdża.

Pewnej nocy popełniła błąd i wspomniła o tym kobiecie, z którą pracowała, gdy wyszły zapalić. Jeanette nie przepadała za papierosami i wolałaby ich nie kupować, lecz palenie pomagało jej opanować senność, a bez przerwy na papierosa nie miałyby na co czekać. Przed nią byłyby tylko kolejne toalety i korytarze do posprzątania. Poprosiła Alice, żeby nikomu o tym nie mówiła. Wiedziała, że mogłaby mieć problemy, gdyby wyszło na jaw, że zostawia dziecko bez opieki. Oczywiście Alicie wszystko wypaplała. Poszła do dyrektora szkoły, a ten natychmiast zwolnił Jeanette.

– Nie wolno zostawiać dziecka bez opieki – powiedział jej w swoim gabinecie obok kotłowni, w pokoju o powierzchni niewiele większej niż metr kwadratowy, ze sfatygowanym metalowym biurkiem, starym głębokim fotelem obitym wytartym pluszem i nieaktualnym kalendarzem ściennym. Było tak gorąco, że Jeanette z trudem oddychała. – Masz szczęście, że nie zawiadomię władz – dodał.

Kiedy stała się kobietą, której można było coś takiego powiedzieć i mieć przy tym rację? Był dla niej miły, więc może zdołałaby mu wytłumaczyć, w jakiej jest sytuacji. Powiedzieć, że bez pieniędzy za sprzątanie nie da sobie rady. Była jednak zbyt zmęczona, żeby znaleźć odpowiednie słowa. Odebrała ostatni czek i wróciła do domu rozklekotaną kią, którą kupiła w liceum. Samochód już wtedy się rozpadał, w lusterku wstecznym widziała, jak śruby i nakrętki sypią się na jezdnię. Kiedy zatrzymała się w sklepie sieci Quick Mart, żeby kupić paczkę capri, a później silnik nie chciał zapalić, zaczęła płakać. Przez pół godziny nie mogła się opanować.

Problemem był stary akumulator. Nowy kosztował u Searsa osiemdziesiąt trzy dolary. Ponieważ od tygodnia nie przychodziła do pracy, straciła także posadę w restauracji. Zostało jej tyle pieniędzy, aby wyjechać, więc spakowała rzeczy do kilku reklamówek i kartonów, które zostawił Bill.

■ ■ ■

Nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Dom był pusty. Rury zamarły i pękły jak dojrzałe owoce. Kiedy przyszła wiosna, woda ciekła z nich całymi dniami, aż firma dostarczająca media zorientowała się, że nikt nie płaci rachunków, i posłała pracowników, żeby zakręcili kurek. W domu zalęgły się myszy, a gdy podczas letniej burzy pękła szyba w oknie na górze, jaskółki uwiły sobie gniazdo w sypialni, gdzie Jeanette i Amy spały na mrozie. Wkrótce cały dom wypełniły głosy i zapach ptaków.

W Dubuque Jeanette pracowała na nocną zmianę na stacji benzynowej, a Amy spała na kanapie w pokoiku na zapleczu, aż właściciel to odkrył i kazał jej spakować manatki. Lato przemieszczały w samochodzie, myjąc się w łazienkach na stacjach benzynowych, więc musiały tylko wsiąść do auta i odjechać. Jakiś czas mieszkaly u przyjaciółki Jeanette w Rochester – koleżanki z liceum, która wyjechała do szkoły dla pielęgniarek. Jeanette wzięła pracę sprzątaczką w tym samym szpitalu, lecz dostawała minimalną stawkę, a mieszkanie było zbyt małe, żeby mogły zostać tam dłużej. Wtedy przeprowadziły się do motelu, lecz Amy nie miała opieki. Przyjaciółka Jeanette nie mogła się nią zajmować, a Jeanette nie знаła nikogo, kto podjąłby się tego zadania, więc znów zamieszkały w samochodzie.

Był wrzesień i zaczęło się robić zimno. W radiu przez cały czas mówiono o wojnie. Wtedy ruszyły na południe. Kia dojechała do Memphis i rozpadła się.

Jakiś facet podwiózł je mercedesem. Powiedział, że nazywa się John, lecz ze sposobu, w jaki to zrobił, Jeanette odgadła, że kłamie. Mówił jak dziecko opowiadające historyjkę o tym, kto stłukł lampę, i czekał ułamek sekundy, zanim dokończył zdanie.

– Jestem... John. – Pomyślała, że ma pięćdziesiąt lat, lecz nie znała się na takich sprawach. Miał starannie przystrzyżoną brodę i nosił dopasowany czarny garnitur, jak przedsiębiorca pogrzebowy. Podczas

jazdy przypatrywał się Amy w lusterku wstecznym, zmieniając pozycję w fotelu. Wypytywał Jeanette: dokąd jedzie, co lubi robić, dlaczego przyjechała do wielkiego stanu Tennessee. Wóz przypominał jej pontiaca grand prix Billa Reynoldsa, choć był od niego ładniejszy. Kiedy facet zamknął okna, prawie nic nie było widać, a siedzenia były tak miękkie, że miała wrażenie, iż siedzi na deserze z lodami. Czuła, że zasypia. Kiedy zatrzymali się przed motelem, było jej niemal obojętne, co się stanie. Wydawało się to nieuniknione. Motel znajdował się w pobliżu lotniska, w okolicy płaskiej jak w Iowa. W świetle zachodzącego słońca widziała reflektory kołujących samolotów, zataczających powolne, senne koła niczym tarcze na strzelnicy.

– Amy, mamusia pójdzie na minutkę z tym panem. Obejrzyj książeczkę, kochanie.

Potraktował ją uprzejmie. Zrobił swoje, nazywając ją „maleńka” i tak dalej. Przed wyjściem zostawił pięćdziesiąt dolarów na stoliku nocnym. Wystarczyło, żeby zapłacić za pokój dla niej i malej.

■ ■ ■

Inni nie byli tacy mili.

Na noc zamykała Amy w pokoju z włączonym telewizorem, żeby nic nie było słychać. Wychodziła na autostradę przed motelem i czekała. Nie musiała długo stać. Zaraz zatrzymywał się jakiś mężczyzna. Kiedy dobili targu, szli do motelu. Zanim wprowadziła faceta do pokoju, zanosila Amy do łazienki, gdzie z dodatkowych koców i poduszek zrobiła jej posłanie w wannie.

Amy miała sześć lat. Była cichym dzieckiem. Choć niewiele mówiła, to wciąż przeglądając te same książki, nauczyła się czytać, poznała też liczby. Pewnego razu oglądały razem *Koło fortuny*. Kiedy nadszedł czas, by uczestniczka teleturnieju wydała wygrane pieniądze, dziewczynka doskonale wiedziała, na co kobieta może sobie pozwolić. Wiedziała, że nie stać jej na wakacje w Cancún, lecz może umeblować salon i wystarczy jej jeszcze na wypad we dwoje do klubu golfowego. Jeanette pomyślała, że Amy jest bystra, skoro to wykombinowała, i powinna chodzić do szkoły. Nie wiedziała, gdzie w okolicy są szkoły. W pobliżu były tylko warsztaty blacharskie, lombardy i motele, jak SuperSix, w którym mieszkali. Właściciel przypominał Elvisa Presleya, nie młode-

go i przystojnego, lecz otyłego i starego, o przetłuszczonych włosach i masywnych złotych okularach, które sprawiały, że jego oczy wyglądały jak rybki w akwarium. Facet nosił satynową marynarkę z błyskawicą na plecach, jak Elvis. Przesiadywał w recepcji, godzinami stawiając pasjansa i paląc małe cygaretki z plastikowym ustnikiem. Jeanette płaciła mu co tydzień gotówką za pokój, a jeśli dorzuciła pięćdziesiątkę, nie wtrącał się w jej sprawy. Któregoś dnia spytał, czy potrzebuje czegoś do obrony. Może chciałaby kupić pistolet. Przytaknęła i spytała, ile chce. Musiała zapłacić dodatkową setkę. Pokazał jej zardzewiały mały rewolwer, dwudziestkędwójkę. Kiedy wzięła broń do ręki w jego biurze, nie zrobiła na niej większego wrażenia. Wątpiła, czy z czegoś takiego można zastrzelić człowieka. Z drugiej strony, rewolwer był na tyle mały, że idąc na autostradę, mogła go włożyć do torebki. Uznała, że nie zawadzi mieć go przy sobie.

– Uważaj, do czego celujesz – ostrzegł ją „Elvis”.

– W porządku – odrzekła. – Skoro się boisz, musi działać. Kupię go.

Cieszyła się, że go ma. Broń w torebce uświadomiła jej, że kiedyś się bała, a teraz już nie. A przynajmniej nie tak jak dawniej. Pistolet był jej małym sekretem, tajemnicą mówiącą o tym, kim jest, jakby nosiła w torebce część siebie. Tamta Jeanette stała przy drodze w obcisłym topie i spódniczce, kręciła biodrami, uśmiechała się i pytała: „Czego chcesz, kolego? Czym mogę ci służyć?”. Ta Jeanette była zmyśloną postacią, jak kobieta z opowieści, której końca wolałaby nie poznać.

Facet, z którym pojechała tamtej nocy, nie był tym, za kogo go wzięła. Zwykle od razu rozpoznawała złych klientów. Czasami odmawiała i odchodziła. Ten sprawiał wrażenie sympatycznego, uznała go za chłopaka z college’u, a przynajmniej takiego, który mógłby do niego uczęszczać. Był porządnie ubrany – miał wyprasowane spodnie khaki i koszulkę z małym człowieczkiem na koniu celującym kijem w piłkę. Przypominał gościa jadącego na randkę, co sprawiło, że wsiadając do samochodu, uśmiechnęła się do siebie. Był to duży ford expo z dachowym bagażnikiem na rowery lub czymś w tym rodzaju.

Wtedy stało się coś zabawnego. Nie zawiózł jej do motelu. Niektórzy chcieli ją mieć tam, gdzie byli, w samochodzie, nie zadając sobie nawet trudu zjechać na pobocze. Kiedy pochyliła się nad nim, myśląc, że tego właśnie pragnie, delikatnie ją odsunął. Powiedział, że chce ją

zabrać do miasta.

– Do jakiego miasta? – spytała.

– Pojedziemy w ładne miejsce. Nie chciałabyś pojechać w jakieś ładne miejsce? Zapłacę ci więcej, niż bierzesz.

Jeanette pomyślała, że Amy śpi w pokoju, i uznała, że nie zrobi to większej różnicy.

– Pod warunkiem że nie zajmie to więcej niż godzinę. Później mnie odwieziesz.

Zajęło im to więcej niż godzinę, znacznie więcej. Kiedy dotarli na miejsce, Jeanette zaczęła się bać. Facet zajechał przed dom z dużym szyldem nad gankiem z trzema znakami przypominającymi litery. Domyśliła się, co to jest – bractwo studenckie. Miejsce, w którym paczka bogatych chłopaków mieszka i upija się na koszt swoich ojców, udając, że uczą się na lekarzy lub prawników.

– Polubisz moich przyjaciół – zapewnił. – Chodź, przedstawię cię.

– Nigdzie nie pójde. Odwieź mnie.

Zawahał się, zaciskając dłonie na kierownicy. Kiedy spojrzała mu w oczy, dostrzegła drzemiące w nich obłąkane pożądanie. Nagle przestał być miłym chłopcem.

– Nie masz wyboru. Czegoś takiego nie ma w menu.

– Niech cię szlag!

Otworzyła drzwi i ruszyła przed siebie, nie zważając na to, że nie wie, gdzie jest. Wyskoczył za nią. Złapał ją za ramię. Nagle stało się jasne, co czeka ją w środku, czego od niej chce. Wszystko zaczęło nabierać sensu. Popęłniła błąd, nie domyślając się tego wcześniej, dużo wcześniej. Może już wtedy, gdy pracowała w Pudełku, do którego pewnego dnia wstąpił na obiad Bill Reynolds. Zdała sobie sprawę, że chłopak też się boi, że może ktoś go do tego zmusił, może czekający w domu przyjaciele, albo tak mu się tylko wydawało. Było jej to obojętne. Podbiegł, próbując zarzucić jej rękę na szyję, zablokować łokciem. Ugryzła z całej siły. Krzyknął z bólu, wyzywając ją od dziwek, a później wymierzył policzek. Straciła równowagę i upadła na plecy. Usiadł na niej okrakiem jak dżokej na koniu. Okładał ją, próbując przytrzymać. Gdyby mu się udało, byłoby po niej. Przypuszczalnie nie robiło mu różnicy, czy będzie przytomna, kiedy się do niej zabierze. Żadnemu na tym nie zależało. Sięgnęła po leżącą na trawie torebkę. Jej życie zrobiło się tak dziwne, że

miała wrażenie, iż do niej nie należy, że nigdy nie było jej własnością. Nie myśl, Jeanette, powiedziała sobie, przykładając mu łufę do czoła, czując jego skórę i kości czaszki. Jest tak blisko, że nie możesz chybić. Nacisnęła spust.

■ ■ ■

Powrót do motelu zajął jej całą noc. Kiedy chłopak się z niej zsunął, pobiegła co sił w nogach do najbliższej dużej ulicy – szerokiego bulwaru lśniącego w świetle ulicznych latarni. Dotarła w samą porę, by złapać autobus. Nie wiedziała, czy ma krew na ubraniu, lecz kierowca nawet na nią nie spojrzał, gdy tłumaczył, jak wrócić na lotnisko. Usiadła z tyłu, żeby nikt jej nie mógł zobaczyć. Autobus był prawie pusty. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Mijali osiedla i sklepy pogrążone w ciemności. Przejechał obok dużego kościoła i drogowskazów do zoo i w końcu znalazł się w centrum. Stanęła na przystanku z pleksiglasu i trzęsąc się z zimna, czekała na następny autobus. Zgubiła zegarek i nie wiedziała, która jest godzina. Może zsunął jej się z ręki podczas szamotaniny i policja wykorzysta go jako ślad? Pomyślała, że to był zwykły timex, który kupiła w sklepie sieci Walgreens, więc pewnie niewiele im powie. Co innego pistolet, który, jeśli dobrze pamiętała, rzuciła na trawnik. Ręka nadal bolała ją od uderzenia. Kości dygotały jak kamerton, który nie chce się uspokoić.

Kiedy dotarła do motelu, słońce już weszło. Czula, że miasto pozwoli się budzi. Weszła do pokoju, gdy zaczęło szarzeć. Amy spała przed włączonym telewizorem. Nadawano właśnie reklamę jakiejś maszyny do ćwiczeń. Muskularny mężczyzna z kucykiem i ogromnymi psimi ustami powarkiwiał z ekranu. Pomyślała, że ma kilka godzin, zanim ktoś się zjawi. Popełniła błąd, zostawiając pistolet, lecz martwienie się tym było bezcelowe. Opłukała twarz i umyła zęby, nie patrząc na swoje odbicie. Włożyła czyste dżinsy i bluzkę. Krótka spódniczka, top i kurtka z frędzlami były ubrudzone krwią i jakąś substancją – wołała nie wiedzieć, co to takiego. Wrzuciła wszystko do cuchnącego śmietnika za motelem.

Miała wrażenie, że czas skurczył się jak akordeon. Całe jej dotychczasowe życie, wszystko, co się wydarzyło, zostało nagle sprowadzone do tej jednej chwili. Przypomniła sobie wczesne poranne wstawanie,

gdy Amy była mała, jak trzymała ją i kołysała przy oknie, często przy tym zasypiając. Były to szczęśliwe poranki, których nigdy nie zapomni. Spakowała kilka rzeczy do plecaka Amy oraz trochę swoich ubrań i pieniędzy do reklamówki. Wyłączyła telewizor i delikatnie potrząsnęła córką.

– Obudź się, kochanie. Musimy jechać.

Mała była senna, lecz pozwoliła, by Jeanette ją ubrała. Rano zawsze była oszołomiona i nieobecna. Dobrze, że nie wyjeżdżają o innej porze, bo musiałyby ją nakłaniać i wszystko wytłumaczyć. Dała Amy baton z płatkami zbożowymi i puszkę ciepłego soku z winogron. Później wyszły na autostradę, którą Jeanette niedawno przyjechała autobusem.

Wracając do motelu, zauważyła duży kamienny kościół z napisem *Kościół Matki Bolesciwej*. Pomyślała, że jeśli wsiądą do właściwego autobusu, miną go.

Usiadła z Amy z tyłu, obejmując ją. Dziewczynka nie powiedziała ani słowa. Bąknęła tylko, że jest głodna, więc Jeanette wyjęła z plecaka kolejny batonik, spakowany razem z czystym ubraniem, szczoteczką do zębów i królikiem Peterem. Jesteś moją dobrą dziewczynką, pomyślała. Moją bardzo dobrą dziewczynką. Przepraszam. Przepraszam cię, mała. W centrum przesiadły się do innego autobusu i jechały przez kolejne pół godziny. Jeanette dostrzegła znak zoo i pomyślała, że zajechały za daleko. O ile pamiętała, kościół był przed zoo, więc teraz musi być za nim.

Wtedy go zobaczyła. Za dnia wyglądał inaczej. Nie był taki duży, lecz mógł ująć. Wysiadły tylnymi drzwiami. Kiedy autobus odjechał, Jeanette zapięła kurtkę Amy i założyła jej plecak.

Zauważyła inny znak, który zapamiętała z minionej nocy. Nad podjazdem prowadzącym do kościoła widniał napis *Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia*.

Wzięła Amy za rękę i ruszyły w jego stronę. Wzdłuż drogi rosły ogromne drzewa przypominające dęby, o długich omszałych konarach. Jeanette nie miała pojęcia, jak wygląda klasztor, lecz okazało się, że przypomina dom. Ładny dom. Kamienne mury lekko lśniły, dach był kryty gontem, a okna obramowane białymi listwami. Od frontu znajdował się ogródek z ziołami. Jeanette pomyślała, że właśnie tym powinny się zajmować zakonnice. Pewnie przychodzą tutaj i pielęgnują delikatne rośliny. Podeszła do drzwi i zadzwoniła.

Kobieta, która im otworzyła, nie była starszą panią, jak Jeanette

oczekiwała. Nie nosiła też habitu, czy jak to tam nazywają. Była młoda, tylko trochę starsza od niej. Gdyby nie krótki welon, wyglądałaby jak każda inna, w sukience, bluzce i tanich brązowych mokasynach. Była czarnoskóra. Przed wyjazdem z Iowa Jeanette widziała tylko jednego lub dwóch Murzynów, jeśli nie liczyć kina i telewizji. W Memphis było ich pełno. Zdawała sobie sprawę, że niektórzy ich nie lubią, lecz jej było to obojętne. Uznała, że czarnoskóra zakonnica będzie w sam raz.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczęła. – Mój samochód się zepsuł, więc pomyślałam...

– Oczywiście – odrzekła tamta dziwnym głosem, jakiego Jeanette nigdy wcześniej nie słyszała. Jakby w wypowiedzianych słowach po-brzmiewała zakłęta muzyka. – Wejdźcie, proszę. Wejdźcie obie.

Cofnęła się, wpuszczając Jeanette i Amy do holu. Jeanette pomyślała, że gdzieś w środku muszą być inne zakonnice – może czarnoskóre, jak ta, która je przywitała – czytające, gotujące lub modlące się. Słyszała, że zakonnice dużo się modlą. Że robią to przez większą część dnia. Ponieważ panowała cisza, pomyślała, że tak właśnie jest. Teraz musi zrobić coś, żeby ta kobieta zostawiła je same. Wiedziała to, tak jak wiedziała, że ostatniej nocy zabiła człowieka. Chociaż bolało ją, że musi tak postąpić, nie robiło jej to większej różnicy, a tylko powiększało cierpienie.

– Pani...

– Ach! Proszę mówić mi Lacey – odrzekła zakonnica. – Staramy się być bezpośrednie. To twoja córeczka? – Uklękła obok Amy. – Cześć! Jak masz na imię? Mamy małą zakonnicę w twoim wieku, jest prawie taka śliczna jak ty. – Podniosła głowę i spojrzała na Jeanette. – Twoja córka jest bardzo nieśmiała. Może to z powodu mojego akcentu. Pochodzę z Sierra Leone w Afryce Zachodniej. – Znów spojrzała na Amy i wzięła ją za rękę. – Wiesz, gdzie leży ten kraj? To bardzo daleko stąd.

– Czy wszystkie zakonnice stamtąd przyjechały? – spytała Jeanette. Kobieta podniosła się i odsłoniła w uśmiechu białe zęby.

– Nie! Na Boga, nie! Jestem jedyna.

Milczały przez chwilę. Jeanette polubiła tę kobietę, polubiła brzmienie jej głosu. Spodobało jej się, jak zwraca się do Amy, jak patrzy jej w oczy, gdy do niej mówi.

– Wiozłam ją do szkoły, gdy ten stary grat się zepsuł – wyjaśniła. –

Rozkraczył się na środku drogi.

Kobieta skinęła głową.

– Proszę tędy.

Zaprowadziła Jeanette i Amy do kuchni, dużego pomieszczenia z olbrzymim dębowym stołem i kredensami, na których widniały napisy: *Porcelana*, *Puszki*, *Makaron* i *Ryż*. Jeanette nigdy wcześniej nie pomyślała, że zakonnice muszą coś jeść. Odgadła, że skoro mieszka tu tyle sióstr, trzeba wiedzieć, gdzie w kuchni są różne rzeczy. Zakonnica wskazała telefon wiszący na ścianie, stary brązowy aparat z długim sznurem. Jeanette starannie obmyśliła swoją rolę. Kiedy wybierała numer, zakonnica postawiła przed Amy talerz z ciasteczkami – nie były to ciastka ze sklepu, lecz upieczone przez siostry. Kiedy usłyszała nagrany komunikat zapowiadający, że dzień będzie pochmurny, z temperaturą około trzynastu stopni, a pod wieczór może padać, udawała, że rozmawia z AAA*, kiwając głową.

– Pomoc drogowa już jedzie – powiedziała, odkładając słuchawkę. – Mam na nich czekać przy samochodzie. Laweta jest w pobliżu.

– Cóż, to dobra wiadomość – odrzekła wesoło zakonnica. – Dziś jest twój szczęśliwy dzień. Jeśli chcesz, zaopiekuję się twoją córką. Lepiej nie zabieraj jej na ruchliwą ulicę.

Doskonale. Nie będzie musiała niczego robić. Wystarczy, że się zgodzi.

– Nie sprawię ci kłopotu?

Zakonnica znów się uśmiechnęła.

– Będzie nam dobrze razem, prawda? – Spojrzała zachęcająco na Amy. – Widzisz? Jest tu szczęśliwa. Idź do samochodu.

Amy przycupnęła na krześle przy wielkim dębowym stole. Przed nią stał talerz z nietkniętymi ciasteczkami i szklanka mleka. Zdjęła plecak i przyciskała go do siebie. Jeanette patrzyła na nią tak długo, jak była w stanie. Później uklękła i objęła córkę.

– Będzie ci tu dobrze – powiedziała. Amy skinęła głową, przytulając się do jej ramienia. Jeanette chciała coś dodać, lecz nie mogła znaleźć słów. Pomyślała o kartce, którą wsunęła do plecaka córki. Była pewna, że ją znajdzie, gdy nie wróci. Tulila Amy, dopóki starczyło jej sił. Czula ją wokół siebie, ciepło jej ciała, zapach włosów i skóry. Wiedziała,

*AAA – American Automobile Association – Amerykański Związek Motorowy.

że za chwilę zacznie płakać, choć tamta, Lucy czy Lacey, tego nie widziała. Jeanette przytulała córeczkę jeszcze przez chwilę, próbując ogarnąć umysłem to uczucie, umieścić je gdzieś, gdzie będzie bezpieczne. Wreszcie ją puściła i wyszła, zanim któraś zdążyła się odezwać. Ruszyła podjazdem w stronę ulicy. Kroczyła przed siebie, nie zatrzymując się.

2

Z archiwum komputerowego doktora Jonasa Abbotta Leara,
profesora Wydziału Biologii Molekularnej i Komórkowej Uniwersytetu
Harvarda, oddelegowanego do Instytutu Medycznego Chorób Zakaźnych
Armii Amerykańskiej (USAMRIID)*.
Zakład Paleowirusologii, Fort Detrick, dr med.

Od: lear@amedd.army.mil

Data: poniedziałek, 6 lutego, 13.18

Do: pkiernan@harvard.edu

Temat: Uruchomienie łącza satelitarnego

Witaj, Paul.

Pozdrowienia z boliwijskiej dżungli, z serca Andów. Wiem, że z perspektywy lodowatego Cambridge, gdzie pewnie pada teraz śnieg, miesiąc spędzony w tropikach wygląda nieźle. Wierz mi, że to nie St. Bart. Wczoraj widziałem węża wielkości łodzi podwodnej.

Podróż przebiegła bez przygód – sześć godzin lotu do La Paz, a później mniejszym rządowym samolotem do Concepción, na wschodzie. W tym rejonie nie ma przyzwoitych dróg. To słabo zaludniony obszar wiejski, więc dalej będziemy musieli iść pieszo. Wszyscy członkowie zespołu są pełni entuzjazmu. Nasza grupka stale się powiększa. Oprócz ludzi z UCLA** w La Paz dołączyli do nas Tim Fanning z

* USAMRIID – United States Army Medical Research Institute of Infectious Diseases – wojskowy instytut badań chorób zakaźnych, pracujący dla armii USA nad sposobami przeciwdziałania atakom przy użyciu broni biologicznej.

** UCLA – University of California.

Uniwersytetu Columbia i Claudia Swenson z MIT*. (Mam wrażenie, że kiedyś wspomniałeś o waszym spotkaniu w Yale). Pewnie ucieszy Cię wiadomość, że oprócz sławy, której nie należy lekceważyć, Tim zabrał ze sobą pół tuzina asystentów. W ten sposób średnia wieku w zespole spadła o dziesięć lat i jest więcej kobiet niż mężczyzn. Tim podkreśla, że każda z nich jest znakomitym naukowcem. Miał trzy żony, jedną młodszą od drugiej. Facet pewnie nigdy nie zmądrzeje.

Muszę przyznać, że mimo moich obaw (a także Twoich i Rochelle) przed współpracą z wojskiem różnica jest ogromna. Tylko USAMRIID dysponuje potencjałem i środkami umożliwiającymi stworzenie takiego zespołu, i to w ciągu miesiąca. Po wielu latach nakłaniania ludzi, aby raczyli mnie wysłuchać, czuję, że drzwi nagle się otworzyły. Pozostaje tylko wejść do środka. Znasz mnie. Wiesz, że jestem naukowcem z krwi i kości. Nie ma we mnie ani krzty przesądów. Czasami myślę, że to zrządzenie losu. Paradoksalne, że po długich zmaganiach Liz z chorobą wreszcie dostałem szansę rozwiązania największej z zagadek: tajemnicy śmierci. Myślę, że spodobałoby jej się tutaj. Wyobrażam ją sobie wśród nas, siedzącą na pniu nad rzeką, w ogromnym słomkowym kapeluszu, jak pozostali. Czytającą swojego ulubionego Szekspira w ciepłych promieniach słońca.

Nawiasem mówiąc, gratuluję etatu. Przed wyjazdem dowiedziałem się, że członkowie komitetu opowiedzieli się jednomyślnie za Twoją kandydaturą, co mnie nie zaskoczyło po wyniku głosowania na moim wydziale, o którym nie mogę Ci powiedzieć. Między nami, jego wynik był równie jednomyślny. Nawet nie wiesz, jak mi ulżyło. Nie wspomnę o tym, że jesteś najlepszym biochemikiem, jakiego mamy. Umiesz sprawić, aby spiralna mikrotubula białkowa podniosła się i zaśpiewała *Alleluja*. Cóż bym robił w przerwach na lunch, gdyby mój partner od squasha nie dostał etatu?

Prześlaz pozdrowienia Rochelle i powiedz Alexowi, że wuj Jonas przywiezie mu coś ekstra z Boliwii. Co powiesz na małą anakondę? Słyszałem, że to przyjazne zwierzaki, pod warunkiem że się je karmi. Mam nadzieję, że wrócimy na inauguracyjny mecz Soxów. Nie mam pojęcia, jak zdobędziesz bilety.

Jonas

* MIT – Massachusetts Institute of Technology.

Od: lear@amedd.army.mil
Data: środa, 8 lutego, 8.00
Do: pkiernan@harvard.edu
Temat: Re: Załatw ich, tygrysie

Cześć, Paul.

Dziękuję za wiadomość i radę godną mędrca w sprawie nadobnych pań z tytułami doktorskimi uniwersytetów Ivy League. Nie mogę się z Tobą nie zgodzić. Przyznam, że pewnej nocy, gdy leżałem samotnie w namiocie, przeszła mi przez głowę podobna myśl. Niestety, najwyraźniej nie było tego w kartach. Do tej pory Rochelle jest jedyną kobietą w moim życiu. Możesz jej wspomnieć, że to napisałem.

Oto nowiny (słyszę, jak Rochelle wtrąca swoje: „A nie mówiłam”): wygląda na to, że zostaliśmy zmilitaryzowani. Pewnie było to nieuchronne, skoro przyjęliśmy pieniądze od USAMRIID. (Mówię o poważnej forsie – rekonesans lotniczy nie jest tani, oprócz tego trzeba było wyłożyć 20 tysięcy dolców na przekierowanie satelity, a dało nam to jedynie 30 dodatkowych minut). Mimo to cena wydaje się przesadna. Kiedy wczoraj kończyliśmy przygotowania do drogi, nad obozem zawisł helikopter i dołączył do nas oddział Sił Specjalnych. Wyglądali, jakby szykowali się do zajęcia nieprzyjacielskiego bunkra: moro do walki w dżungli, zielono-czarny „makijaż” i celowniki na podczerwień zamontowane na potężnych automatach M-19. Znakomicie wyposażeni. Niektórzy byli w bojowym nastroju. Za nimi włókł się jakiś facet w garniturze, cywil, który wyglądał na dowódcę. Kiedy do mnie podszedł, okazało się, że jest bardzo młody. Nie miał nawet trzydziestki, opalony jak zawodowy tenisista. Co robi w oddziale komandosów? „Jesteś tym facetem od wampirów?”, spytał. Wiesz, jak nie znoszę tego słowa. Spróbuj dostać grant z NAS*, jeśli masz w papierach wzmiankę o wampirach! Przytaknąłem, ponieważ chciałem być uprzejmy, poza tym facet dysponował wystarczającą siłą ognia, aby dokonać zbrojnego przewrotu w moim małym państewku. „Jestem Mark Cole, doktorze

*NAS – National Academy of Sciences – Narodowa Akademia Nauk.

Lear – odpowiedział, ściskając moją dłoń i uśmiechając się szeroko. – Przebyłem długą drogę, aby pana poznać. Coś panu powiem, został pan majorem”. Pomyślałem sobie: Jakim majorem, do jasnej cholery?! Co ci ludzie tutaj robią? „To ekspedycja naukowa”, poinformowałem go. „Już nie”, odpowiedział. „Kto o tym zdecydował?”, ja na to. „Mój szef, doktorze Lear”. „Kto jest pańskim szefem?”, spytałem. „Prezydent Stanów Zjednoczonych”.

Tim był trochę wkurzony, bo dali mu tylko kapitana. Nie odróżniłbym kapitana od pułkownika Sandersa, więc jest mi wszystko jedno. Prawdziwego zamieszania narobiła Claudia. Zagroziła, że spakuje manatki i wróci do domu. „Nie głosowałam na tego faceta i nie zamierzam służyć w jego pieprzonej armii. Nie obchodzi mnie, co ten palant powiedział!”. Dodam, że nikt z nas na niego nie głosował, a to, co się stało, zakrawało na jeden wielki żart. Wtedy okazało się, że Claudia jest kwakierką. Jej młodszy brat ostro protestował podczas wojny w Iranie. Jakoś udało nam się ją udobruchać i namówić do pozostania. Obiecaliśmy, że nie będzie musiała nikomu salutować.

Sę w tym, że naprawdę nie wiem, co ci goście tu robią. Nie chodzi o to, że naszą ekspedycją interesuje się wojsko, bo przecież wydajemy ich forszę. Dodam, że jestem im za to wdzięczny. Dlaczego jednak przysłali oddział komandosów (nazywali ich „specjalnym oddziałem zwiadu”), żeby pilnowali gromady biochemików? Dzieciak w garniturze – pewnie pracuje w NSA, ale kto go tam wie? – powiedział mi, że rejon, w którym działamy, jest kontrolowany przez narkotykowy kartel Montoya, więc przysłali żołnierzy, żeby zapewnić nam ochronę. „Jak by to wyglądało, gdyby zespół amerykańskich naukowców został wybity przez narkotykowych hersztów z Boliwii? – zapytał. – Nie byłby to najszcześniejszy dzień dla amerykańskiej polityki zagranicznej, dla nikogo”. Nie zaprzeczyłem, choć wiedziałem, że w pobliżu nie grasują żadne bandy. Ich operacje koncentrują się w zachodniej części Wyżyny Boliwijskiej. Część wschodnia jest praktycznie niezamieszкана, jeśli nie liczyć kilku rozproszonych indiańskich osad, których mieszkańcy od lat nie mieli kontaktu ze światem. Dodam, że facet wie, że ja wiem.

Od tego wszystkiego rozboleła mnie głowa, ale o ile wiem, obecność wojska nie wpłynie na przebieg ekspedycji. Zmieni się tylko to, że będzie nam towarzyszyć ciężka artyleria. Żołnierze trzymają się na uboczu. Nie słyszałem, żeby któryś otworzył usta. Przyznam, że to trochę upierne, ale

nie wchodzą nam w paradę.

Tak czy owak, wyruszamy jutro rano. Propozycja przywiezienia węża nadal aktualna.

Jonas

Od: lear@amedd.army.mil

Data: środa, 15 lutego, 23.32

Do: pkiernan@harvard.edu

Temat: Zob. załącznik

Załącznik: DSC00392.JPG (596 KB)

Witaj, Paul.

Minęło sześć dni. Przepraszam, że tak długo się nie odzywałem. Powiedz Rochelle, żeby się nie martwiła. Z trudem brniemy przez dżunglę. Drzewa rosną gęsto, na dodatek od wielu dni bez przerwy pada. Uruchomienie systemu łączności satelitarnej wymagałoby zbyt dużo ceregieli. Wieczorem jemy kolację i zasypiamy wyczerpani w namiotach, jak robotnicy rolni. Dodam, że wszyscy cuchniemy.

Dziś jestem zbyt podekscytowany, by zasnąć. Zdjęcie w załączniku wszystko Ci wyjaśni. Zawsze wierzyłem w sens naszej pracy, choć miewałem chwile zwątpienia i bezsenne noce, gdy zastanawiałem się, czy to wszystko nie jest jednym wielkim idiotyzmem, urojeniem mojego umysłu po tym, jak Liz zachorowała. Wiem, że Ty również o tym myślałeś. Byłbym głupcem, gdybym nie analizował swoich motywów. Teraz nie mam wątpliwości.

Według wskazań GPS-u jesteśmy dobre 20 kilometrów od celu. Topografia terenu zgadza się z satelitarnym rekonesansem – równina porośnięta gęstą dżunglą, choć rzeka płynie głębokim wąwozem o stromych wapiennych ścianach podziurawionych jaskiniami. Nawet geolog amator potrafiłby czytać w tych klifach jak w otwartej księdze. Na górze znajduje się warstwa osadów rzecznych, a później, jakieś cztery metry poniżej krawędzi, czarna linia węgla drzewnego. Wszystko się zgadza z legendą Czibczów. Tysiąc lat temu cały teren został strawiony przez ogień: *wielki płomień zesłany przez boga Auxla, pana Słońca, aby zniszczyć ludzi-demony i ocalić świat*. Ostatniej nocy rozłożyliśmy się z obozem na brzegu rzeki. O zachodzie słońca słychać było trzepot skrzydeł nietoperzy wylatujących z pieczar. Rano wyruszyliśmy na

wschód brzegiem rzeki.

Zobaczyliśmy ten posąg tuż po 12.00.

W pierwszej chwili pomyślałem, że mam przywidzenia. Obejrzyj zdjęcie, Paul. Przedstawia ludzką postać, choć nie do końca. Ma pochyloną zwierzęcą sylwetkę, dłonie przypominające szpony i długie zęby. Tors jest silnie umięśniony, szczegóły pozostały widoczne mimo upływu... Właśnie, ile lat upłynęło? Ile wieków wiatru, deszczu i słońca musiało minąć, żeby naruszyć kamień? Mimo to rzeźba zapiera dech. Podobieństwo do innych wizerunków, które Ci pokazywałem, jest niezaprzeczalne. Przypomnij sobie kolumny świątyni w Mansarha, płaskorzeźby w miejscu pochówku w Xianyang, malowidła jaskiniowe w Côtes d'Armor.

Tej nocy było jeszcze więcej nietoperzy. Można do nich przywyknąć, dzięki nim jest mniej komarów. Claudia zbudowała pułapkę, żeby schwytać jednego. Podobno nietoperze lubią brzoskwinie z puszek, więc użyła ich jako przynęty. Może Alex wolałby nietoperza zamiast anakondy?

J

Od: lear@amedd.army.mil

Data: sobota, 18 lutego, 18.51

Do: pkiernan@harvard.edu

Temat: kolejne pliki jpg

Załącznik: DSC00481.JPG (596 KB), DSC00486.JPG (582 KB), DSC00491.JPG (697 KB)

Obejrzyj zdjęcia. Naliczyliśmy dziewięć postaci.

Cole sądzi, że jesteśmy śledzeni, lecz nie chce powiedzieć przez kogo. Mówi, że ma przeczucie. Całymi nocami kontaktuje się z kimś za pomocą systemu satelitarnego. Wiem, że nie zdradzi mi, o co w tym wszystkich chodzi. Na szczęście przestał do mnie mówić „majorze”. To młodzieniaszek, lecz nie jest taki zielony, na jakiego wygląda.

Pogoda wreszcie się poprawiła. Jesteśmy blisko celu, około 10 kilometrów. Mamy dobry czas.

Od: lear@amedd.army.mil
Data: niedziela, 19 lutego, 21.51
Do: pkiernan@harvard.edu
Temat:

Od: lear@amedd.army.mil
Data: wtorek, 21 lutego, 1.16
Do: pkiernan@harvard.edu
Temat:

Paul, piszę do Ciebie, bo obawiam się, że mogę nie wrócić. Nie chcę Cię straszyć, lecz trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Jesteśmy w odległości niecałych 5 kilometrów od miejsca pochówku, choć wątpię, czy uda nam się dokonać zaplanowanej ekshumacji. Zbyt wielu zachorowało lub umarło.

Dwie noce temu zostaliśmy zaatakowani – nie przez ludzi z kartelu narkotkowego, lecz przez nietoperze. Nadleciały kilka godzin po zachodzie słońca, gdy większość z nas przebywała poza namiotami, zajęta wieczornymi pracami, rozproszona po terenie obozowiska. Jakby cały czas nas śledziły, czekając na odpowiednią chwilę, by przeprowadzić atak z powietrza. Miałem szczęście. Poszedłem kilkaset metrów w górę rzeki, z dala od drzew, żeby złapać dobry sygnał na GPS-ie. Nagle usłyszałem krzyki i strzały, a kiedy wróciłem, stado odleciało w dół rzeki. W nocy zmarły cztery osoby, w tym Claudia. Nietoperze osaczyły ją ze wszystkich stron. Próbowwała dobiec do rzeki – pewnie myślała, że odpędzi je po drodze – lecz jej się nie udało. Gdy do niej dotarliśmy, straciła tyle krwi, że nie miała żadnych szans. W chaosie, jaki zapanował, te bestie pokąsały lub podrapały sześciu innych. Wszyscy są chorzy. Wygląda na to, że cierpią na ostrą postać boliwijskiej gorączki krwotocznej. Objawy to krwawienie z ust i nosa, zaczerwieniona skóra i popękane naczynia włosowate w oczach, wysoka temperatura, płyn w płucach i śpiączka. Skontaktowaliśmy się z CDC*, lecz bez analizy tkanki nie można postawić diagnozy. Kiedy Tim próbował odpędzić nietoperze od Claudii, praktycznie rozszarpały mu rękę. Jego stan jest najcięższy. Wątpię, czy dożyje rana.

* CDC – Center for Disease Control and Prevention – Centrum Zwalczenia i Zapobiegania Chorób.

Ostatniej nocy znowu się zjawily. Żołnierze utworzyli pierścień obronny, lecz nietoperzy było zbyt dużo, pewnie setki tysięcy. Stado było tak wielkie, że przystoniło gwiazdy. Zginęli trzej komandosi i Cole. Stał przede mną. Widziałem, jak go uniosły, a później rozerwały tak, jak gorący nóż kroi masło. Tyle z niego zostało, że ledwo zdołaliśmy go pochować.

Ta noc jest spokojna. Nie widziałem na niebie żadnego nietoperza. Otoczyliśmy obóz pierścieniem ognisk i najwyraźniej to je powstrzymało. Nawet komandosi są przerażeni. Za chwilę postanowimy, co robić. Zniszczeniu uległo dużo cennego sprzętu. Nikt nie wie, jak do tego doszło, lecz podczas ostatniego ataku kilka granatów wpadło do ogniska, zabijając jednego z żołnierzy i niszcząc generator oraz namiot, w którym była większość naszych zapasów. Nadal mamy urządzenia do łączności satelitarnej i wystarczającą ilość ładunku w bateriach, aby poprosić o ewakuację. Powinniśmy stąd zmiatać.

Z drugiej strony, kiedy zastanawiam się nad tym, dlaczego mam zawrócić, skoro dotarłem tak daleko, nie umiem wymienić nawet jednego powodu. Byłoby inaczej, gdyby Liz żyła. Myślę, iż przez ostatni rok jakaś część mnie udawała, że Liz na chwilę wyjechała, że pewnego dnia podniosę wzrok i zobaczę ją w drzwiach: jej uśmiech i głowę przechyloną tak, że włosy nie zasłaniają twarzy. Że ujrzę moją Liz, która wróciła do domu, spragniona filiżanki earl greya, gotowa do przechadzki z Charlesem mimo padającego śniegu. Wiem, że tak się nie stanie. To dziwne, lecz wydarzenia dwóch ostatnich nocy pozwoliły mi lepiej zrozumieć, co robimy, o jaką stawkę toczy się gra. Nie żałuję, że tu przyjechałem. Jeśli pozostali uznają, że trzeba wracać, być może pójdę dalej sam.

Niezależnie od tego, co się stanie, jaką decyzję podejmę, chcę, abyś wiedział, że byłeś moim wielkim przyjacielem. Więcej niż przyjacielem, bratem. Czuję się dziwnie, pisząc te słowa na brzegu rzeki, w środku boliwijskiej dżungli, ponad sześć tysięcy kilometrów od wszystkiego, co znam i kocham. W jakże dziwne miejsca może zaprowadzić nas życie, w jakie mroczne korytarze.
